

Wojciech Wyskiel

"Przeciw (w) literaturze : esej o „Poezji czynnej” Mirona Białoszewskiego i Edwarda Stachury", Krzysztof Rutkowski, Bydgoszcz 1987 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 80/1, 355-362

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Fiut ma świadomość miejsca swojej rozprawy w badaniach nad poezją Noblisty. Powiada, że dla wielu fenomenów Miłoszowej sztuki należałoby stworzyć „całkiem nową aparaturę pojęciową”. I dalej: „Miłosz, podobnie jak Gombrowicz, »czeka na swego Bachtina«” (s. 250). Ostatni rozdział *Momentu wiecznego* stanowi próbę perspektywy Bachtinowskiej. Analizuje rolę cudzego słowa, cudzego doświadczenia w strukturze dzieł Miłosza. Jest to rozdział swoiście „graniczny”, gdyż Fiut wkracza już, co prawda, na terytorium poetyki historycznej, ale wciąż pozostaje w kręgu spraw podpowiadanych badaczom przez Miłoszowe autokomentarze. Prędzej czy później trzeba się będzie oderwać od wskazówek poety i zarówno jego teorię, jak praktykę poetycką uporządkować wedle nowych reguł: ukrytych w poe-tyce immanentnej.

Edward Balcerzan

Krzysztof Rutkowski, PRZECIW (W) LITERATURZE. ESEJ O „POEZJI CZYNNEJ” MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO I EDWARDA STACHURY. Bydgoszcz 1987. „Pomorze”, ss. 268. „Eseje — Szkice”.

Rutkowski jest gwałtowny i apodyktyczny. Nie wchodzi w układy ze swym czytelnikiem, nie stara się go pozyskać i z wolna przekonać do wysuwanych koncepcji. Od pierwszej stronicy wszczynają spór zarówno o same założenia refleksji humanistycznej (w tym literaturoznawstwa), jak i o wykładnię przemian literatury współczesnej. Wyklucza możliwość kompromisu, jakiegoś cząstkowego porozumienia. Stawiając sprawy na ostrzu noża, przypierając do muru, wymusza najszerszy zakres i pryncypialność dyskusji. I to są główne, niewątpliwe walory jego wystąpienia. Ale apodyktyczność, wykluczająca łatwą zgodliwość i prowokująca spór, jednocześnie spór ten usztywnia i w szczególny sposób ogranicza. Autor jasno określił przedmiot swego studium: interesuje go literatura jako praktyka mowy wśród innych praktyk mowy, w jej obrębie zaś dokonania Mirona Białoszewskiego i Edwarda Stachury. Wolno by się więc spodziewać, że będzie zmierzał do tego, by nowa teoria umożliwiła nowy opis konkretnych doświadczeń pisarskich, a ten zarówno potwierdzi konieczność rewidowania dotychczasowych koncepcji literatury, jak też zweryfikuje i rozbuduje nowe w tym zakresie propozycje. Tymczasem w rozważaniach Rutkowskiego występuje zależność jednokierunkowa: założenia ogólne całkowicie przesądzą o charakterze i możliwościach opisu konkretnych zjawisk literackich, ten ostatni zaś w żadnym stopniu nie modyfikuje wyjściowych hipotez. Jest to szczególnie widoczne wtedy, gdy badacz bierze do ręki konkretny tekst literacki i znajduje w nim tylko to, co spodziewał się znaleźć. Apodyktyczny ton prowokuje więc zasadniczy spór, co przesądza o znaczeniu wystąpienia, ale spór ten nie może się rozwinąć, gdyż autor uniemożliwia wszelką dyskusję nad przyjętymi założeniami — i to jest główna słabość jego wystąpienia.

Skoro Rutkowski ujmuje literaturę jako praktykę mowy wśród innych praktyk mowy, przeto o tym, jak rozumie on i opisuje przemiany w literaturze współczesnej, przesądza określone rozumienie języka i procesów komunikacyjnych. Tym samym zajmuje on wyraźne stanowisko w dyskusji najważniejszej dla współczesnej humanistyki — i polemika z nim mogłaby się toczyć na tym właśnie poziomie. Oznaczałoby to jednak ujęcie dwóch trzecich jego książki jako jedynie materiału ilustracyjnego, co zapewne nie odpowiada autorskiej intencji. Z drugiej zaś strony nie widzę innej możliwości włączenia się w zasadniczy spór, jak tylko poprzez opis konkretnych praktyk mowy. Nie mogąc nigdy usytuować się „na zewnątrz” języka, nie możemy inaczej podjąć pytania, czy rzeczywiście „Język

jest prawie wszystkim w życiu człowieka" (s. 31). Daremne byłoby też próby spojrzenia z zewnątrz na współczesną refleksję humanistyczną, skoro nasze własne myślenie rozwija się w wyznaczonych przez nią ramach. Rozsądek nakazuje więc, by ani nie przyjmować na wiarę jej twierdzeń dotyczących istoty języka i procesów komunikacyjnych (gdyż prowadzi to do szczególnej mitologizacji języka), ani nie odrzucać ich z góry (gdyż mogłoby to oznaczać powrót do naiwnej koncepcji języka jako pośrednika między człowiekiem a światem pozaludzkim). Prawdziwie pasjonującym i płodnym przedsięwzięciem jest rozwijanie tej refleksji w konfrontacji z otaczającymi nas praktykami wypowiedziowymi, sprawdzanie, jak wiele z tego żywiołu potrafimy zrozumieć i opisać. Do takiego właśnie wysiłku skłania wystąpienie Rutkowskiego i to, jak powiadam, jest jego głównym i istotnym walorem. Rzecz w tym, że podejmując program Rutkowskiego, nie sposób uniknąć polemiki z jego realizacją — gdyż w obrębie swego studium ustanowił taką relację między założeniami ogólnymi a opisem pisarskich dokonań Białoszewskiego i Stachury, która zakłada niepodważalność tych pierwszych. Polemika nie dotyczy więc teorii, ale jej wykorzystania.

Nie podejmując dyskusji nad najogólniejszymi założeniami, nie będę też ich szczegółowo prezentował. Starczy powiedzieć, że podstawowe znaczenie ma przyjęta koncepcja języka i wypowiedzi. Rutkowski powtarza za Gadamerem: „jesteśmy zawsze zdomowieni w języku tak jak w świecie” (zob. s. 31). Zdanie jest jednostką języka, wypowiedź jednostką obcowania językowego. Żadna wypowiedź nie jest ani pierwsza, ani ostatnia; każda włącza się w proces wiecznej rozmowy, nawiązuje do wcześniejszych wypowiedzi i wyzywa następne. Ogół tego, co powiedziane i dające się powiedzieć, zostaje nazwane logosferą. W obrębie logosfery wypowiedzi łączą się w praktyki mowy, które powołują własne instytucje gwarantujące trwałość i rozpoznawalność danej praktyki. Wszystkie wypowiedzi realizują się w gatunkach mowy, te ostatnie każdy mówiący musi opanować tak jak reguły języka. I teraz przechodzę już do twierdzenia, które bezpośrednio wyznacza kierunek opisu konkretnych doświadczeń pisarskich:

„W badaniach logosfery najciekawsze i najważniejsze wydają się relacje występujące na granicach poszczególnych złożonych praktyk wypowiedziowych, przyczyny i sposoby różnicowania oraz kontaktu tych praktyk” (s. 34).

Cień wątpliwości, jaki pojawił się w tym twierdzeniu („wydają się”), mógł zapowiadać, że i dalej będzie ono przedmiotem dyskusji. Ale nie, zanim rozpoczął się opis przemian literatury współczesnej, wątpliwości zostały już rozstrzygnięte. Badacz z góry założył, że każdy kontakt między gatunkami mowy przesądza o możliwościach i dynamice logosfery, każde przewartościowanie praktyk mowy jest rewolucją w świecie mowy, czyli po prostu — w świecie. Tymczasem obserwacja literatury współczesnej dostarcza nie tylko tego rodzaju argumentów, jakich poszukuje Rutkowski, ale też nasuwa różnego rodzaju wątpliwości, które należałoby uważnie rozpatrzyć. Bardzo możliwe, że Rutkowski ma rację, gdy twierdzi: „Na granicy cudzego i własnego świata mowy możemy dopiero porozumieć się co do czegoś” (s. 184). Ale nie jestem pewien, czy każde załamanie reguł, każde nawiązanie do gatunków nieliterackich, każda krytyka instytucji literackich i „języków wyłączonych” — były takim właśnie przekraczaniem granicy swego i cudzego świata, w konsekwencji więc ważnym wydarzeniem w obrębie całej logosfery.

Z grubsza rzecz traktując, nasuwają się dwie wątpliwości, których badacz zupełnie nie bierze pod uwagę. Wolno podejrzewać, że w logosferze przede wszystkim zaś w literackiej praktyce mowy, wiele jest ruchu pozornego, przekształceń powierzchownych, eksperymentów pozbawionych istotnych motywacji i trwałych konsekwencji. Powiedzmy: uprawiana w literaturze krytyka literatury, szczególnie krytyka upostaciowania wypowiedzi poetyckiej („kultura książkowej”), bywała dog-

matyczna i naiwna; próby wykorzystania w literaturze gatunków i subkodów nie-literackich — prowadziły również do wulgaryzacji i ograniczenia horyzontu poznawczego. Nie potrafię zatem rozstrzygnąć, czy rzeczywiście najważniejsze są „relacje występujące na granicach poszczególnych złożonych praktyk wypowiedzeniowych”. Zgodzimy się oczywiście, że tak bywa, ale czy zawsze właśnie tak? Jak odróżnić przekształcenia powierzchniowe od istotnych? Nie mam pretensji do Rutkowskiego, że nie odpowiada na wszystkie nasuwające się pytania, ale mam mu za złe, że podstawowe wątpliwości z góry uznał za rozstrzygnięte. W efekcie bez dowodu pozostaje również twierdzenie najważniejsze, gdyż egzemplifikacja nie problematyzuje go, spełniając jedynie funkcje ilustracyjne:

„Koncepcja »poezji czynnej« Mirona Białoszewskiego i Edwarda Stachury jest najwyraźniejszą manifestacją trzeciego progu logosfery w polskim piśmiennictwie krajowym. Prace obu poetów — to znak kolejnego przełomu zachodzącego w logosferze.

Krytyka zawarta w koncepcji »poezji czynnej« Białoszewskiego i Stachury wymierzona jest nie tylko przeciwko literaturze, lecz także przeciwko procesom unifikującym życie języka, które związane są z dominacją elektronicznej przestrzeni komunikacyjnej. W wyniku tej dwustronnej krytyki, w obrębie postgrafemicznej formacji wypowiedzeniowej powstały hybrydyczne gatunki mowy, łączące gatunki literackie z codziennymi, prostymi i złożonymi, gatunkami mówionymi, gatunki w wysokim stopniu zdialogizowane i podlegające dialogizacji” (s. 63).

Twierdzenie to nie daje się zweryfikować z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze dlatego, że określając progi logosfery jako zjawiska „głębinowe” Rutkowski nie wyjaśnia, w jaki sposób odróżnia zjawiska „głębinowe” od powierzchniowych. I w tej kwestii opisy doświadczeń Białoszewskiego i Stachury nie wnoszą niczego istotnego, gdyż z góry uznane były za „głębinowe”. Po drugie dlatego, że głosząc doniosłość przeprowadzonej przez tych pisarzy krytyki nie tylko literatury, ale i ogólnie „procesów unifikujących życie języka” — Rutkowski nie interesuje się zupełnie jej skutecznością, jej konsekwencjami w obrębie literatury i całej logosfery. W tej sytuacji mogą tylko jego przekonaniom przedstawić własne: skłonny byłbym się zgodzić, że eksperymenty Białoszewskiego miały istotny wpływ na świadomość i przekształcenia współczesnych praktyk językowych (przede wszystkim — literackich), ale zdecydowanie mniejsze znaczenie przypisywałbym „pisanu przeciwko pisaniu” Stachury.

Jak uprzedzałem: nie polemizuję z założeniami, ale ze sposobem wyprowadzania z nich wniosków. Staram się wykazać — i zaraz do tego wrócę — że kurczowe trzymanie się teorii znacznie ograniczyło możliwości rozpoznania rzeczywistego przebiegu współczesnych procesów literackich. Nie wykluczone, że o pewnej schematyczności opisu przesądziły również niekonsekwencje w rozstrzygnięciach ogólnych. Ponieważ jednak rozważania Rutkowskiego nie stwarzają dobrej okazji do dyskusji w tym zakresie, poprzestaną na zgłoszeniu dwóch nękających mnie wątpliwości. Czytając mistrzów Rutkowskiego (fenomenologów języka, hermeneutów) nie zawsze jestem pewien, co rozumieją oni pod pojęciem języka: każdy system znaków czy język naturalny, konkretny język etniczny czy jakiś wspólny wszystkim ludziom język? Przykładowo: czy dla tego rodzaju badań jest istotny fakt, że prelekcje paryskie wygłaszane były po francusku, czy też to nie ma znaczenia? I druga wątpliwość. Otóż wcale nie jestem pewien, czy wyrwane z kontekstu twierdzenia fenomenologów egzystencjalnych i hermeneutów można połączyć w spójną konstrukcję teoretyczną z rozwijaną przez Foucaulta koncepcją „uskoków i progów w rozwoju formacji dyskursywnych”. Jeśli nawet tak, to wymagałoby to przewyżczenia zasadniczych trudności — o nich jednak Rutkowski nie wspomina wcale.

Do rzeczowej dyskusji skłania przede wszystkim opis poszukiwań literackich

Mirona Białoszewskiego. W tej bowiem części studium Rutkowski formułuje wiele sądów przekonywających i odkrywczych, tym większa szkoda, że i w tych partiach grzeszy jednostronnością i gołosłowiem. To prawda, że doświadczenia dzieciństwa na Lesznie ukształtowały wyobraźnię i poglądy Białoszewskiego. Ale przecież nie po to do nich powracał, by kontynuować „istotne cechy zbiorowego światopoglądu, funkcjonującego w kulturze środowisk robotniczych Warszawy lat trzydziestych” (s. 133). Uczony komentator zdaje się nie dostrzegać tego, co oczywiste dla każdego czytelnika: że mianowicie wartości i wzorce wytworzone w środowisku, w którym Białoszewski wyrósł, podejmował on w sposób selektywny, tyleż aprobował, co i odrzucał. Konsekwencje tego błędu są znamienne: normy i kryteria, które w utworach literackich zostają zderzone z innymi, zrelatywizowane i podporządkowane bardziej uniwersalnym regułom, badacz przyjmuje za ostateczną podstawę rozstrzygnięć poznawczych i etycznych. Ważne są, rzeczywiście, wszelkie nawiązania do „form obcowania językowego” charakterystycznych dla tamtego środowiska, ale nie mniej ważne są przekształcenia, jakim podlegają one w opracowaniu literackim. Przyczyną tych uproszczeń jest szczególnie redukcjonizm Rutkowskiego: dostrzega on środowiskowe ramy podstawowych doświadczeń pisarza, ale pomija ich rys indywidualny; pod tym, co społeczne i historyczne, nie dostrzega wymiaru egzystencjonalnego. Sprowadzenie trzech wymiarów do jednego istotnie zuboża całą interpretację.

Zacznę od pierwszej redukcji. Nie można poprzestać na twierdzeniu: „Twórczość Mirona Białoszewskiego wywodzi się z form obcowania językowego występującego w kulturze środowisk robotniczych” (s. 132). Ważna jest bowiem nie tylko tradycja, której wzorce podejmował, ale też właściwy jemu i tylko jemu sposób, w jaki ją sobie przyswoił. Wracając do doświadczeń dzieciństwa Białoszewski nie tylko opisuje macierzyste środowisko, ale też podkreśla swoje szczególne w jego obrębie usytuowanie. Leszna bowiem można było doświadczyć na różne sposoby. Białoszewski patrzył na nie oczami jedynaka, nieśmiałego chłopca o nieco marzycielskim usposobieniu, odsuniętego od świata mężczyzn i równolatków. Ten chłopiec wyrósł pod opieką i w świecie kobiet: matki, babki, autentycznych i przyszywanych ciotek, sąsiadek. Najważniejszą postacią jego dzieciństwa była Nanka, siostra ojca. Nad wszystkimi wspomnieniami z dzieciństwa dominuje taki obraz: opuszczone mieszkanie (pokój z kuchnią), domownicy gdzieś na mieście, tylko Nanka stoi na swym posterunku przy kuchni (ale nie gotuje, trwa w typowym dla siebie zamyśleniu), a mały Miron urządza na podłodze procesje z chorągwiemi. Przez otwarte okno, przez uchylone drzwi dochodzą odgłosy z kamienicy.

No właśnie, te odgłosy, wśród nich strzępy wypowiedzi — są szczególnie ważne. Przesiadując (samotnie lub z kobietami) na progu mieszkania, w bramie, na korytarzu, w maglu, w otwartym oknie — Miron nudząc się słuchał i obserwował. Zapamiętał dokładnie, potem zanotował, że pan Szklarski raz odezwał się do żony: „Popatrz, Helcia, lepa ma puncki”. A poważna Limpcia na pytanie służącej o obiad odpowiedziała: „Rosół z bobrem, sztuka mięsa z gównem”. Pocchiwy i rozsądny pan Hotkiewicz wołał do swego pieszka: „Dzidzia, dziabi pana! Dziabi pana! Dzidzia! Dzidziunia! Dziabi pana! Dziabi pana! Dziabi pana! Dzidzia!” Są to wypowiedzi, których kontekst, funkcja w interakcji czy nawet sens językowy nie są jasne. Można je usłyszeć przez otwarte okno czy drzwi, ale nie sposób przecież podejść do sąsiada i poprosić o wyjaśnienia. Przeludnienie kamienicy i właściwa jej organizacja przestrzeni wykluczały takie wyizolowanie rodzin i jednostek, jakie w innych środowiskach uważa się za naturalne. Ale też warunki te ukształtowały obyczajowość, która zapobiega

¹ Wszystkie cytaty w tym fragmencie podaję z: M. Białoszewski, *Leszno 99*. W: *Rozkurz*. Warszawa 1980, s. 6—11.

zbytniej natarczywości kontaktów. Rutkowski trafnie wychwycił znaczenie organizacji przestrzeni mieszkalnej dla ukształtowanych w środowisku „robotniczym” praktyk wypowiedzeniowych, ale zajęty głównie potwierdzaniem teoretycznych założeń, nie przeczytał uważnie Białoszewskiego. W efekcie ani nie wychwycił wszystkich literackich nawiązań do tego rodzaju praktyk, ani nie dostrzegł, że pisarz poznał je i zapamiętał w szczególny sposób. Powtórzyć: Leszno Białoszewski chłonął oczami i uszami dziecka, w dużej mierze też poprzez relacje otaczających chłopca kobiet.

A teraz o drugiej redukcji, polegającej na sprowadzeniu doświadczenia egzystencjalnego do jego środowiskowych uwarunkowań. Rutkowski powiada: „W osobie Białoszewskiego znalazły swojego kontynuatora i współtwórcę istotne cechy zbiorowego światopoglądu, funkcjonującego w kulturze środowisk robotniczych Warszawy lat trzydziestych” (s. 133). To, w jaki sposób pisarz mógłby być współtwórcą światopoglądu, który funkcjonował w latach trzydziestych, jest dla mnie zupełnie nie do pojęcia, pozostaną więc przy „kontynuatorze”. Uważna lektura tekstów wspomnieniowych dowodzi jednoznacznie, że stosunek Białoszewskiego do macierzystego środowiska był przynajmniej ambiwalentny. Łatwo znaleźć w nich informacje o uporczywych wysiłkach zmierzających do tego, by wyrwać się z tego otoczenia. I opisy takiego „urządzania się”, które umożliwiłyby swobodną realizację wybranego sposobu bycia, ekscentrycznego dla otoczenia i całkowicie podporządkowanego twórczości. Czyż trzeba udowadniać, że realizacja takiego projektu na Lesznie nie byłaby możliwa, że nie mógłby on liczyć na tolerancję ze strony otoczenia? Życie i twórczość Białoszewskiego podporządkowane były afirmacji tych samych wartości. Dlatego nie można pominąć faktu, że przy pl. Dąbrowskiego — gdzie czuł się najswobodniej — pisarz zorganizował swe życie wedle reguł, których nie tylko nie daje się bezpośrednio powiązać ze „zbiorowym światopoglądem, funkcjonującym w kulturze środowisk robotniczych Warszawy lat trzydziestych”, ale które byłyby wprost wyzwaniem dla obyczajowości panującej na Lesznie.

Warto przyrzeć się uważniej temu, jak pisarz organizował swoje kolejne siedziby (Leszno, Poznańska, pl. Dąbrowskiego, Chamowo), w różnych warunkach realizując ten sam projekt. Bez dowodu mogą stwierdzić tylko jedno: na pewno projekt ten, traktowany jako całość, nie powtarzał wzorców z Leszna (co innego — poszczególne jego elementy). Z drugiej zaś strony, rzeczywiście, doświadczenia z lat trzydziestych ukształtowały postawę, poglądy i wyobraźnię późniejszego poety. Ale mowy być nie może o kontynuowaniu wzorców środowiskowych, chyba że twierdzenie to opatrzymy istotnymi zastrzeżeniami, czego jednak Rutkowski nie czyni. Mówiąc najkrócej, choć niestety nieco pretensjonalnie: w dzieciństwie Białoszewski doświadczył intensywnie niewygody swego usytuowania w świecie, własną sytuację wśród ludzi i rzeczy odczuwał jako niefortunną. Szczególnie dokuczyło mu przedludnienie i natarczywa obecność innych oraz ubóstwo i brzydota otoczenia przedmiotowego. W tych warunkach zaczął z wolna uczyć się strategii życiowej, która pozwoliłaby mu przekształcić najbliższe otoczenie w taki sposób, by mógł je zaakceptować i zadomowić się w nim nie prowokując jednocześnie agresywnych reakcji, honorującego inne reguły, środowiska. I ta strategia okazała się niezwykle skuteczna również w okresie powojennym, już poza Leszнем. W „kolchozie” na Poznańskiej najbardziej przeszkadzało Białoszewskiemu to wszystko, co przypominało Leszno: wiele wysiłku włożył więc w pozbycie się sublokatorów i uniezależnienie od rodziny. Jednym z najszczęśliwszych momentów w jego życiu było zdobycie mieszkania przy pl. Dąbrowskiego, gdzie tryb życia, stosunki międzyludzkie i urządzenie wnętrza mógł kształtować najswobodniej.

Oczywiście, że doświadczenia z Leszna nie miały jedynie charakteru negatywnego. Ale nie tyle wzorce środowiskowe inspirowały Białoszewskiego, co raczej indywidualne postawy jednostek, które w trudnych warunkach potrafiły żyć

godnie i autentycznie. Nie za to kochał i szanował Nanę, że reprezentowała „mądrość środowiska robotniczego”, ale raczej za tę ekscentryczność, z której Michał starał się ją wyleczyć kuksańcami. Nie mogąc w tym miejscu mnożyć przykładów, powiem ogólnie: główny błąd Rutkowskiego polega na tym, że normy i wartości środowiska, które są przedmiotem opisu i oceny, traktuje on jako narzędzie opisu i kryterium oceny. Tylko nieliczni mieszkańcy Leszna bywali później przy pl. Dąbrowskiego, tylko kilku stało się później pozytywnymi bohaterami wierszy i próz. I charakterystyczne, że pisarz utrwalił ich w ten sposób, że cechy środowiskowe zeszyły na plan dalszy, uwybraźniły się zaś uniwersalne reguły strategii życiowych. Powiedzmy: ekspansywność i skłonność do „robienia porządku” zaskakująco połączyły panią administrator z krytykiem A.S., a „uczone panie” z IBL okazały się nie mniej serdeczne i pocziwe („ludzkie”) jak ciotki z Leszna.

Rutkowski przyjął dwie fałszywe, jak sądzę, przesłanki, więc i wniosek musiał być fałszywy. Po pierwsze: choć jasne jest, że kultura robotnicza czy środowisko robotnicze to nie to samo co kultura czy środowisko robotników — niemniej takie określenie miejsc, które miały ukształtować Białoszewskiego (Leszno), nie jest najtrafniejsze. Po drugie: badacz mitologizuje środowisko robotnicze, przypisując mu właściwości (krytycyzm, dialogowość, tolerancję), które z taką dozą dobrej woli można równie zasadnie (a raczej bezzasadnie) przypisać innym środowiskom. Z tych przesłanek wyprowadził sylogizm: otwarcie jest cechą środowiska robotniczego, Białoszewski podejmuje nie kończące się próby przyswojenia obcych sposobów myślenia i wartościowania, więc jest kontynuatorem „światopoglądu środowisk robotniczych”. Dla badacza pochłoniętego tworzeniem tego rodzaju konstrukcji myślowych uważna i całościowa lektura tekstów nie jest konieczna, istotne wnioski wyłaniają się z rozumowania, cytaty wyjęte z tekstów ilustrują tylko wcześniejsze konkluzje. Monologowy charakter dyskursu kontrastuje z wyrażoną w nim pochwałą dialogu. Rutkowski nie dopuszcza do głosu nie tylko pisarza, ale i innych krytyków. Zbývá ich propozycje lakonicznym komplementem, by dalej całkowicie je zignorować. W rezultacie zlekceważył też sugestie, które mogły wesprzeć jego własne tezy. Otóż sądzę, że z Leszna wyniósł Białoszewski przede wszystkim szacunek dla postaw cywilnych i przekonanie o korzyściach płynących z usytuowania poza społecznie uznanym centrum („peryferyjność”). Jeśli więc szukać kontynuacji, to właśnie tym tropem, na który naprowadza lektura tekstów i którym podążali już krytycy — ale od niego właśnie odwodzą przyjęte przez Rutkowskiego przesłanki.

Zatrzymałem się dłużej przy wykładni doświadczeń pisarskich Białoszewskiego, gdyż stanowi ona centralną partię całego studium. Ale też i dlatego, że w tym punkcie polemika z Rutkowskim jest najbardziej kłopotliwa. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby nie był on skrępowany przyjętymi założeniami metodologicznymi, gdyby swobodnie rozwinął trafne intuicje i błyskotliwe pomysły — dałby jeden z najważniejszych komentarzy do twórczości autora *Zawatu*. Całkowicie też zgadzam się z tezą główną: pisarstwo Białoszewskiego było najradykałniejszą i najskuteczniejszą w powojennym piśmiennictwie polskim próbą przekroczenia granic literatury: granic językowych, gatunkowych i tematycznych. Natomiast przypisywanie podobnej doniosłości dokonaniom Stachury budzi zasadniczy sprzeciw.

Stachura osiągnął nie byle co: pozostawił dzieło, którego każda linijka nosi autorskie piętno, i zbudował legendę, żyjącą dalej po jego śmierci. Na tle tych dokonań ani koncepcja „poezji czynnej”, ani składająca się na nią krytyka „kultury książkowej” — nie wydają się szczególnie interesujące. Rutkowski tak wysoko ceni radykalizm tej krytyki, że w jej mieliznach i naiwnościach (które, przyznajmy, dostrzega) skłonny jest widzieć mało istotny mankament. Tymczasem zależność jest inna: Stachura tym gwałtowniejszy był w swej krytyce literatury, im słabiej uświadamiał sobie jej sprzeczności i skutki, onieśmielające „konserwatyw-

nych” pisarzy. Podnosząc znaczenie jego eksperymentów już nie tylko dla literatury, ale wprost całej logosfery Rutkowski popada w oczywistą przesadę. Jednostronność i arbitralność tej części wywodu przejawia się nie tylko w stroniczym zestawieniu argumentów, ale nawet w samej stylistyce: podsuwającej sugestie i oceny, których zasadności nie sposób dowieść. Bywa i tak, że do celu tego użyte zostają środki niezbyt wyszukane. Przykładowo: mogłoby się wydawać, że nie ma niczego szczególnego w fakcie, iż zapiski skreślone przez poetę w trzęsącym pociągu są nieco koślawe. Ale Rutkowski sugeruje, że i tutaj kryje się jakaś głębia, tajemnica: „każda litera jest rozedrgana, jakby chora na febrę” (s. 198). Nie dowierzając sile sformułowanych wprost argumentów, badacz tak spreparował tło literackie, by przekonanie o wyjątkowości dokonania bohatera studium narzucało się samo. Tworzy więc iluzję, że „poezja czynna” (Mickiewiczza, Białoszewskiego i Stachury) konkurowała wyłącznie z „literaturą subtelną aż do młodości” (s. 198), „skrobaniem gęsim piórem po ćwiartce papieru” (s. 236) i „utowarowionym sensem” (s. 240). Przywołuje nazwiska sławnych filozofów i badaczy, aby — jak twierdzi — wykazać zbieżność ich poszukiwań z „poetyckimi intuicjami Stachury” (s. 213). Ale taka to i zbieżność: badacz przywołuje np. koncepcje Weizsäckera—Drieschnera (i to w taki sposób, że niczego nie można zrozumieć) tylko dlatego, że Stachura „również” odrzucił „zdroworozsądkowe wyobrażenie o naturze czasu” (s. 213).

Tym razem nie będę wchodził w szczegółową polemikę, gdyż rozwinęłaby się ona podobnie do sporu o Białoszewskiego. Byłaby zaś o tyle mniej ciekawa, o ile wykładnia poszukiwań Stachury jest bardziej schematyczna. Nawet przyjąwszy, że poszczególne utwory były jedynie „śladowi” poszukiwań wykraczających poza literaturę, nie widzę możliwości poważnej dyskusji bez starannego odczytania tych „śladów”. Sądzę np., że analiza ich warstwy językowej, słownictwa i stylistyki, oraz struktury gatunkowej — mogła dostarczyć Rutkowskiemu również tych argumentów, których daremnie szukał gdzie indziej. Nie bardzo też wiem, jak można rzeczowo polemizować z wielokrotnymi zapewnieniami o wyjątkowości dokonania Stachury, skoro nie towarzyszy im najskromniejsza choćby próba zestawienia z analogicznymi poszukiwaniami innych twórców.

Nie jest obowiązkiem recenzenta prezentowanie rozwiązań alternatywnych. Nie mam też takich ambicji. Jednakże główną wartość wystąpienia Rutkowskiego widziałbym w tym, iż skłania ono do konfrontowania współczesnej refleksji nad językiem i prawami rządzącymi logosferą z obserwacją przebiegających wokół nas praktyk wypowiedzeniowych. Gdybym miał podjąć to wyzwanie, próbowałbym inaczej. Załóżmy (zastrzegając sobie możliwość kwestionowania założeń i godząc się z koniecznością precyzowania wyjściowych hipotez), że język jest siecią pojęciową, którą mówiący zarzuca niejako na rzeczywistość, przekształcając ją w ten sposób w świat i określając własną pozycję w tym świecie. Przyjmijmy dalej, że wiązania tej sieci wyznaczają zasadnicze relacje człowieka z otoczeniem, podmiotowe i przedmiotowe, czasowe i przestrzenne, ale cała jej tkanka jest niezwykle bogata i skomplikowana. Człowiek nigdy nie wykorzystuje wszystkich możliwości ofiarowanych mu przez język, nasza artykulacja świata i własnej sytuacji w świecie jest zawsze uboższa, niż mogłaby być. Dlatego wszelki ruch w obrębie logosfery, kontakty między różnymi praktykami wypowiedzeniowymi, przełamywanie konwencji gatunkowych — nie są wartością samą w sobie, ale wartością tylko o tyle, o ile służą pełniejszej artykulacji świata, co znaczy: rozbudowywaniu i „oswajaniu” tego świata. Podobnie w odniesieniu do literatury: to nie bunt przeciw instytucjonalizacji, łamanie konwencji językowych i gatunkowych są najważniejsze. Najważniejsze jest wykrywanie nie przewidywanych możliwości języka, coraz pełniejsze odsłanianie relacji łączących nasz świat w całość i nas ze światem. Takie, jakie — sądzą — dokonuje się w całym dziele Białoszewskiego i, z różną kon-

sekwencją i różnym skutkiem, w najambitniejszych utworach Stachury (np. *Fabularasa*). Ale tego trzeba by właśnie dowieść w studium równie ambitnie pomyślanym jak *Przeciw (w) literaturze*.

Wojciech Wyskiel

Małgorzata Czerwińska, *AUTOBIOGRAFIA I POWIEŚĆ, CZYLI PISARZ I JEGO POSTACIE*. Gdańsk 1987. Wydawnictwo Morskie, ss. 204.

W książce Małgorzaty Czerwińskiej przeplatają się dwa wątki: jeden uwidoczniiony w tytule *Autobiografia i powieść*, drugi to problem sobowtóra badany na materiale literackim powieści i autobiografii (a najczęściej powieści autobiograficznej). Temat sobowtóra łączy literaturę z domeną psychologii i prowadzi ku problematyce ściśle literackiej — autobiografizmu i autotematyzmu. Te dwie kwestie często występują razem, gdyż pisanie o sobie wywołuje naturalną koleją rzeczy, pisanie o pisaniu. Oba wątki — autobiografii i sobowtóra — spojone są tezą, iż pisarstwo autobiograficzne jest w istocie kreacją literackiego sobowtóra:

„Zarówno autobiografia, jak literacka opowieść o sobowtórce są dwiema odpowiedziami na to samo fundamentalne pytanie: kim jestem? Pisanie autobiografii jest kreowaniem drugiego siebie, identycznego, a zarazem nieuchronnie innego” (s. 61).

Autobiografia literacka i powieść autobiograficzna — jako opowieść o drugim wysiłku poznawania, tworzenia siebie, podejmowanym przez autobiografa, odgadujemy to samo napięcie uczuć, tę samą obawę i pragnienie, wstyd i skrywaną czułość, z jakim pierwsze Ja odnosi się do sobowtóra” (s. 64).

Autobiografia literacka i powieść autobiograficzna — jako opowieść o drugim „ja” — muszą, zdaniem autorki, przypominać fikcyjne wątki sobowtórów szczególnie rozpowszechnione w okresie romantyzmu. Czerwińska rozwija tę koncepcję na przykładzie pisarstwa Marii Kuncewiczowej — od *Kluczy* do *Fantomów*. Założenie, że specyfiką autobiografii jest operowanie motywem sobowtóra, można odwrócić — okaże się wówczas, że wątek sobowtóra musi mieć w istocie charakter autobiograficzny. Do sprawdzenia tej hipotezy posłużyła autorce wczesna twórczość Jarosława Iwaszkiewicza. Łącząc obie tezy Czerwińska stwierdza: „Bohater sobowtórów pojawia się w różnych miejscach wielkiego wspólnego obszaru, obejmującego autobiografię i powieść” (s. 67).

Czerwińska próbuje określić, jakie elementy fabuły, konstrukcji postaci, tła i rekwizytów, a także sygnały leksykalne towarzyszą pojawieniu się tematu sobowtóra. Porządkując literacką problematykę sobowtóra wprowadza zróżnicowaną terminologię, jak „postać sobowtórów”, „sytuacja sobowtórów”, „sobowtóry jawne i ukryte”, „sobowtóry cząstkowe”. Wyznaczniki fabularne tematu sobowtóra to przede wszystkim obecność pary bohaterów — podwojenie osobowości lub rozdwojenie jaźni jednej postaci. Główne elementy opowieści o sobowtórce — jak pisze autorka książki np. w związku z opowiadaniem Iwaszkiewicza — to zasada lustrzanej podwójności, napięty związek między postaciami oparty jednocześnie na fascynacji i na odpychaniu, ambiwalencja etyczna i uczuciowa, obłąd i śmierć.

Rozdział 2, *Bohater autobiograficzny jako sobowtór*, zawiera interesujący przegląd literackiej i nie tylko literackiej problematyki sobowtóra. Bogata dokumentacja naukowa tego zagadnienia obejmuje rozmaite interpretacje: psychologiczne, psychoanalityczne, socjologiczne, religijne. Przedmiotem szczegółowej dyskusji stały się poglądy kilku myślicieli: Otto Ranka, Mircei Eliadego, Roberta Rogersa, Carla Francisa Kepplera, Martina Bubera i Stanisława Adamczewskiego. Literacki problem